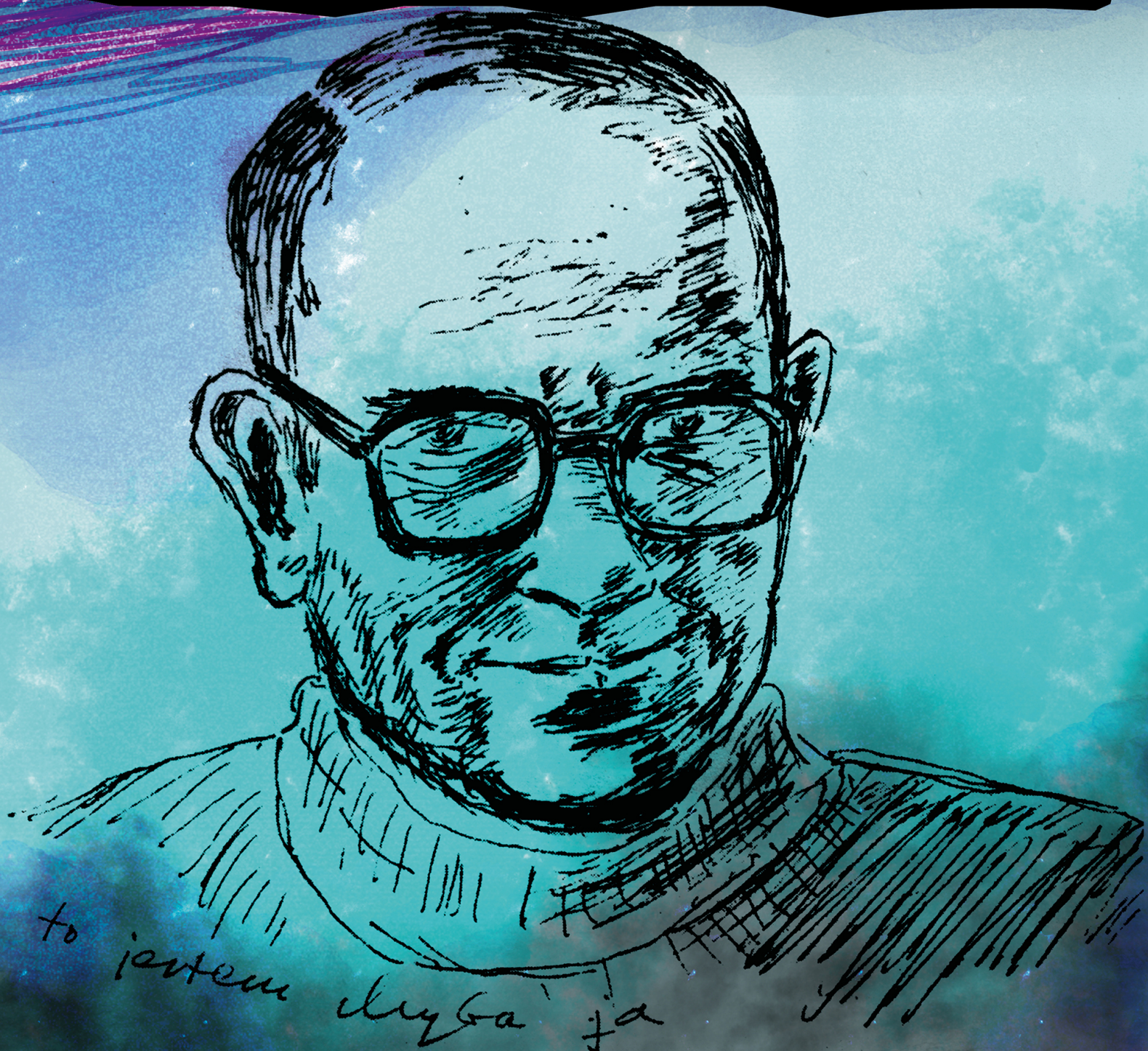


TADEUSZ KONWICKI



to jestem dyleta ja

PAMFLET NA SIEBIE

Tadeusz Konwicky
PAMFLET NA SIEBIE

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-87-7

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa (2010),
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, Warszawa 1995

Olga Bołdok na podstawie grafiki Tadeusza Konwickiego

1

Jak to się stało, że człowiek zyskał świadomość. Swój największy skarb i swoje nieszczęście. Czy zdobył ją za przyzwoleniem opatrności, czy wbrew woli Wielkiego Eksperymentatora.

Rozum ludzki, tajemnicze jądro świadomości, niespokojna, ruchliwa myśl ludzka zakłóca prawa ewolucji naszej egzystencji. Myśl ludzka przerwie w końcu ten proces nie wiadomo ku czemu zdążający i nie wiadomo przez kogo spowodowany. Koniec świata, koniec tej formy istnienia, jednej z wielu możliwych, spowoduje sam człowiek. A Pan Bóg będzie się przyglądał bezradnie owej śmierci, jednej z wielu prawdopodobnych.

*

Lubiłem historię, chociaż nie lubiłem powieści historycznych. Ale teraz, raptem, u progu starości, spostrzegam, że nie ma prawdziwej historii. Są tylko interesowne, mocno skłamane na swoją korzyść wersje zdarzeń utrwalone przez krzykliwych uczestników tej historii. Dzieje można naginać i przeinaczać wedle swej woli, byle tylko starczyło uporu i bezczelności.

*

Ja także, jak wielu przede mną, ulegam pokusie, żeby zapisać prawdę o moich współczesnych. Oczywiście moją prawdę, choć korygowaną moimi dobrymi obyczajami i moją dumą. Ta moja prawda byłaby może bliska prawdzie i pozwoliłaby następnym pokoleniom spojrzeć wnikliwiej na nasz skomplikowany czas. Ale ja przecież tego nie napiszę. Nie pozwoli na to mój honor i moja pobłażliwa pogarda wobec tych stworzeń, wśród których żyję, tych osobników gnanych animalnymi odruchami. Przede wszystkim nie dopuści do tego moje lenistwo, ta dziwna potęga kierująca od dawna moimi postępami.

*

Odegrać się na rówieśnikach. Zemścić się na rywalach. Upuścić kwartę złej krwi, co zbiera się od lat w starczych żyłach. Ale co to da. Komu to da. Na ile to zmieni gąszcz niewiadomego wokół nas. Jakie to może mieć znaczenie w nieznanym sumie.

*

Nie tylko ja przeżywam popłoch. Histerii uległa także nauka, tak dotychczas pyszna. Nagle przekonała się, że mało wie i nic nie rozumie. Wielki Wybuch może był, a może go nie było. Wszechświat jest nieskończony, ale chyba raczej jest skończony. Kto wie, czy nie ma nieskończonej liczby wszechświatów. Fizyka newtonowska okazała się tabliczką mnożenia dla dzieci. Kosmos drwi z Newtona i po trochu z Einsteina. Kosmos i mikrokosmos dziwaczy, wygłupia się, robi kawały uczonej. Wobec tego nikt nic nie wie i pada plackiem przed nierozpoznawalnym i nieodgadnionym.

Uczeni pielgrzymują na Wschód, tam szukają ratunku i ukojenia, pociechy i objaśnienia, nowego nieba i nowego Boga.

A inni szukają boskości w jawiącym się przed nami Wielkim Chaosie.

*

Strach to mój brat. Wspominałem już o tym kiedyś. Po śmierci ojca, w wieku trzech lat, poznałem się ze strachem. Jako tak zwany sierota podawany byłem z rąk do rąk. Wożono mnie po całej Wileńszczyźnie. Od jednej ciotki do drugiej, od wuja do kuzyna. Obce domy, nieznanne, wrogie widoki za oknem. Rano domownicy wychodzili do pracy, zamykając mnie na klucz w pustym wnętrzu, pełnym skrzypienia podłóg, trzaskania szaf i jęków w kominie. Szczęk klucza w zamku był jednak najstraszniejszym dźwiękiem mego dzieciństwa. Zamknięcie, oddzielenie, wyizolowanie od świata. Błagałem, żeby zostawiano choćby szparkę, w drzwiach, w oknie, choćby na suficie. Ale gdzie tam. Kto by się tam przejmował fanaberiami podrzutka.

Ten strach wrócił po wielu latach. Nigdy nie usiądę w teatrze albo w kinie pośrodku widowni. A w samolocie proszę o miejsce przy przejściu. Strach idzie ze mną przez życie. Idzie właściwie przede mną.

*

Wyczytałem gdzieś taką anegdotę z początku naszego wieku. W pewnym towarzystwie rozprawiano o zgubnych nałogach. Na to stary szlagon przybyły ze wsi wtrąca swoje trzy grosze:

- A mój brat, panie dziejku, nie pił, nie palił, nie romansował i umarł.
- A ile miał lat? – ktoś pyta.
- Dwa.

*

Mnie się wydaje, że są trzy rodzaje strachów: strach animalny, strach intelektualny i strach metafizyczny. Strach animalny jest odruchowy. Doznajemy go kurcząc się raptownie, gdy ktoś obok strzeli nieoczekiwanie. Strach intelektualny jest wytworem naszego umysłu, naszych spekulacji czy pracy wyobraźni. A strach metafizyczny to ta dziwna panika, która nas raptownie ogarnia, miażdży mózg, zrywa struny nerwów i pędzi nas przed siebie w objęcia śmierci.

*

Podobno pewien nasz dygnitarz partyjny zrobił w spodnie na posiedzeniu Biura Politycznego, kiedy w roku 1956 przyleciał nagle do Warszawy Nikita Chruszczow, żeby gasić niepokoje w Polsce.

Moja wnuczka Danusia, dość śmiała z natury, pół roku nie chciała wracać do domu przez pewną bramę na Nowym Świecie, ponieważ stamtąd otwierał się widok na całe kaskady dachów i mnóstwo kominów. A na jednym z nich był dymnik blaszany kształtem przypominający postać człowieka z pochyloną w zamyśleniu głową. Wiatr obracał tym urządzeniem, budząc dziwny lęk w małej Danusi. Nie wiadomo dlaczego bała się ona także pewnej niewinnej fontanny na Powiślu. Podczas spacerów wysyłała mnie przodem na przespziegi.

Lęki metafizyczne w moim życiu reprezentują wariaci, których jestem faworytem i ulubieńcem. Są takie dni, jakieś dziwne pory, kiedy urywają się telefony od wariatów. Gdy zadzwoni pierwszy i jakoś go ukoję, wiem, że zaraz będą dzwonić następni, aż do nocy, aż do tej pory, kiedy zmieni się aura lub koniunkcja gwiazd.

*

Chyba na początku roku 1964 zachorowałem na anginę. Tradycyjne leki jakoś mi nie pomagały, więc para przyjaciół lekarzy ze współczucia uradziła poleczyć mnie jakimś nowym antybiotykiem. Ale nie pamiętali, jaką dawką należy potraktować chorego. Więc po namyśle zastosowali lekarstwo trochę na zapas, żeby było dobrze, żeby na pewno poskutkowało.

I gdzieś na początku nocy zaczęły się dziać ze mną dziwne rzeczy. Za oknem luta zima, mróz, zawieja, pustkowie uśpionego miasta, a mnie dopada strach, przerażenie, jakaś nie do wytrzymania panika.

Brak powietrza, ucisk w głowie i dławiąca za gardło histeria, że jestem, że istnieje, że buzuje we mnie świadomość, której się nigdy nie pozbędę.

Ta świadomość, że mam świadomość, że uwięziono mnie w tym czymś niewidzialnym, co pulsuje we mnie, wokół mnie, co będzie mnie osaczać szamotaniną szczytków rozpierzchniętych myśli, co jest nieznanne i nierozpoznawalne, może z innych światów albo nieznanymi bytów, ta świadomość złożona z przenikających się świadomości rozszarpywanych przez przecucia, ta właśnie świadomość, albo może inna, konkurencyjna, biorąca się ze świadomości globalnej, tej co otacza naszą Ziemię i służy nam, pomaga w przetrwaniu, więc ta jakaś lepsza, życzliwsza mi świadomość kazała zerwać się z łóżka, podbiec do drzwi balkonowych, za którymi była biel śniegu i oblodzony kamienny trotuar ulicy.

Zacząłem się szarpać z drzwiami solidnie opatrzonymi na zimę. Przymarzły, obrosły lodem, zaszpurowały się na amen. Ale wtedy przypomniałem sobie, że mam żonę, że jest ktoś życzliwy na tym pustynnym świecie. Obudziłem ją, zrobiła herbatę i tak, trzymając za rękę, powoli wprowadziła mnie w zwyczajność mego dawnego życia.

*

Poszedłem do psychiatry. Opowiadam mu o tych jakichś egzystencjalnych lękach, co mnie atakują ni z tego, ni z owego. Czasem w moim własnym łóżku, kiedy indziej po wódeczce, a nieraz nawet podczas czcigodnego zebrania. Pan doktor wysłuchał, coś sobie wpisał do zeszytu, a potem się zamyślił.

– Wie pan, dobrze by było, gdyby się pan przestraszył czegoś realnego. Klin klinem.

– Jadę do Związku Radzieckiego, do Buchary wybierać plener do filmu „Faraon”.

– O toto! – ucieszył się lekarz. – To bardzo dobrze. Związek Radziecki może pomóc. Niech pan spróbuje.

*

W Bucharze zamieszkaliśmy w jedynym reprezentacyjnym hotelu. Pechowo wszedłem do hotelowej toalety przy restauracji. Od tego momentu przez cały tydzień odżywiałem się już tylko lotewskimi szprotkami z puszki i chlebem.

Wracaliśmy samolotem nabitym pasażerami jak warszawski tramwaj w godzinach szczytu. Babcie z kobiałkami, pasterze z jakimiś zwierzątkami w zapazuchach, radzieccy playboye w kusych marynareczkach mimo trzydziestostopniowego mrozu, tulący do piersi jakieś tłumoczki owinięte organem partii pod tytułem „Prawda”.

W Moskwie nasz filmowy szef produkcji, Ludwik Hager, rozluźnił się i powiada:

– Wiecie co, napijemy się wreszcie dobrej kawy. Zapraszam.

Szliśmy dziesięć kilometrów przez zawianą śniegiem Moskwę. Nigdzie ani śladu kawiarni. Wreszcie patrzymy: miga neonowy napis „Kafiejnaja”.

Wchodzimy triumfalnie, siadamy przy marmurowym stoliku. Podchodzi kelnerka.

– Prosimy trzy duże mocne kawy – rzecze Ludwik.

– Kawy? U nas? – dziwi się kelnerka.

– A co się u was podaje?

– Lody i koniaczek.

*

Pomogło. Jak ręką odjął. Później w Warszawie ataki lękowe pojawiały się już coraz rzadziej, aż po latach w ogóle ustąpiły. Uśmierzył je jedwabny, ciepły kaftan bezpieczeństwa starości.

Te strachy narodziły się razem ze mną, razem ze mną rosły, dojrzewały, męźniały, robiły karierę, tyły, rozwydrzały się, aż wreszcie wybuchły uruchomione przez lekkomyślnych przyjaciół konowałów i zostały ukorzone przez wyższe strachy nie z tego świata. Teraz te moje własne, osobiste, mnie wyznaczone strachy czają się we mnie, przebiegają chyłkiem od serca do mózgu i od krtani do wątroby, czekają na swoją chwilę i się doczekają albo nie doczekają i razem ze mną powloką się w niebyt lub w inny byt.

*

Obawa, bojaźń, lęk, strach, trwoga, panika, przerażenie. Czy dobrze stopniuję? Są na pewno stany pośrednie. Każdy ma swoją skalę i swoje odmiany lęków.

A odwaga? Ta poskromicielka strachów tak skwapliwie wielbiona, szczególnie w sferach patriotycznych. Znamy odwagę płynącą z determinacji, z instynktu życia. To matka broniąca dzieci przed śmiercią. Odwaga towarzyska, odwaga na pokaz, odwaga wymuszona przez klękę. Widziałem takich zuchów podczas wojny, legendarnych junaków, którzy nagle załamywali się i tonęli w nikczemnym tchórzostwie, gdy ustawały te okoliczności, co ich uwznioślały i dawały żyro. Wreszcie ta odwaga prawie niezauważalna, odwaga jako wynik pracy umysłu, kalkulacji moralnej i przeźroczyściego poczucia godności ludzkiej. Hołdują jej ci anonimowi szarzy osobnicy, którzy niosą na swoim grzbiecie cały trud naszego życia. I w dobrej, i w złej doli.

*

Ja o strachach i lękach nieraz już pisałem. Odwaga jest chwilowa, a strach wieczny. Odwagę my sami wymyśliliśmy, a strach dany jest od Boga. Strach jest naszym strażnikiem. Chroni nas przed nami samymi i przed wrażliwym przypadkiem chaosu. Strach jest regulatorem i bezpiecznikiem wielkiej maszyny ewolucji. Strach, wstyd powiedzieć, służy po prostu zachowaniu gatunku.

*

Najlepiej ze strachem się oswoić. Przyjrzeć się jego mechanizmom, zrozumieć jego rolę w przyrodzie, zbadać okoliczności, które go rodzą.

Rozebrać go na czynniki pierwsze i przyjrzeć się każdemu włóknu. Kiedy skoczy nam raptem na kark, stawić mu bierny opór przez natychmiastowe włączenie aparatury myślowej, która, pochlebiona tym zaufaniem, skwapliwie zanalizuje agresywnego napastnika. Umysł, ambitny w swoim człowieczeństwie, sparuje atak i obedrze strach z jego metafizycznych aspiracji.

Do strachu można się nawet przyzwycząić.

*

Podejrzewam, że sen jest myśleniem mózgu w stanie spoczynku. Przypomina to efekt płyty gramofonowej puszczonej na zwolnionych obrotach. Sen to myślenie rozpełzające się w przestrzeni. Może nawet kosmicznej.

*

Strach jest naszym cieniem. Malejącym, kiedy słońce jest w zenicie, powiększającym się przed wieczorem. Strach jak cień znika na długie chwile i raptem się pojawia nie wiadomo skąd i kiedy. Strach idzie przed nami i za nami przez całe życie. Miejmy nadzieję, że nie dalej.

*

Ekipa fińskiej telewizji robiła o mnie film. Pojechaliśmy też do Nowej Wilejki pod Wilnem, a właściwie teraz w Wilnie. Chciałem im pokazać ulicę Letnią i dom, w którym się urodziłem. Ale na miejscu okazało się, że ulicy Letniej nie ma. Zniknęła, przepadła, odeszła w nicość, jeśli w ogóle kiedyś istniała.

Lekko skonsternowany miotałem się między blokami mieszkalnymi tak charakterystycznymi dla budownictwa radzieckiego, więc szamotałem się między tymi kamiennymi barakami, przepytując starców, co pamiętają dawne czasy, o moją ulicę Letnią. Bez rezultatu.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI